№ 7. Warszawa, dnia (5) 17 Lutego 1900 roku. Rok XLII.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Pismo Illustrowane dla Kobiet

PRENUMERATA WYNOSI:

w Warszawie:	Z przesyłką pocztową:
kwartalnie . . . rs. 1	kwartalnie . . rs. 1.25
Za odnoszenie do domu	półrocznie . . „ 2.50
kop. 10.	rocznie . . . „ 5.—

Rękopisów mniejszych Redakcya autorom nie zwraca.

ZA GRANICĄ: We Lwowie i Krakowie: Kwartalnie flor. 1.80. Na prowincyi flor. 2.20. W Poznaniu kwartalnie mr. 3, na prowincyi mr. 3.75. W innych państwach związku pocztowego kwartalnie rs. 1 kop. 60, lub walutą zagraniczną podług kursu.
Agencye główne na Galicyę: we Lwowie Agencya dzienników i inseratów St. Sokołowskiego Pasaż Hausmana l. 9; w Krakowie Księgarnia S. A. Krzyżanowskiego. Agencya główna na Niemcy Księgarnia Świętego Wojciecha w Poznaniu.

CENA OGŁOSZEŃ: Za wiersz petitu jednoszpaltowy lub jego miejsce kop. 12 „Nadesłane” wiersz garmontu kop. 50. Ogłoszenia przyjmuje Administracya pisma i wszystkie biura ogłoszeń warszawskie i znaczniejsze zagranicą. Zmiana adresu kop. 15.

Adres Redakcyi i Administracyi:
Warszawa, Chmielna 26.—Telefon 106.

SEWER.

LEGENDA.

(Dalszy ciąg).

— Cóż jesteś tak osowiały? — pytała go Józia.

— Smutny raczej, że jestem tak głupi.

— Powinieneś się cieszyć, że ci się zdarza sposobność dowiedzenia się wielu ciekawych rzeczy.

Zosia zbliżyła się do niego.

— Nie ci są rozumni, co dużo książek przeczytali.

— Tylko którzy?

— Ci, co odczuwają prawdę, dobro, piękno, mają Boga w sercu.

Nastała długa cisza. Kierownik pocałował rękę Zosi ze czcią, z której nie zdawał sobie sprawy. Józia patrzała na nią z podziwem.

Książki ułożono na stole — polskie osobno, francuzkie osobno, liczba niewidziana w Sosnowicach. Na małym stoliczku przy oknie ustawiono przybory do pisania, papier. Na komodzie stanął żółty mosiężny samowar, filiżanki, cukiernica, gospodarstwo tej, która gardziła ptasiem mlekiem.

— Panie Janie—zabrała głos Zosia — przypominam panu pracę w ogrodzie. Mamy z inspektów przesadzać ziemniaki.

— Dobrze — rzekła Józia — ale po kawie. Zapracowaliśmy na kawę. Taki wielki kufer rozpakować, to nie są żarty.

Zosia poprowadziła przyjaciółkę ku oknu.

— Nie umiem prowadzić kuchni, nie mam o tem pojęcia.

— Z pewnością, taka pani.

— Nigdy się tem nie zajmowałam.

— Miałaś coś lepszego do roboty.

— Pragnę się u was stołować, tylko rano herbatę pić u siebie.

— Kasia ci zawsze przyniesie samowar.

— Jeśli zgoda, oznacz sumę.

— Muszę się z mamą rozmówić i obliczyć, aby cię czasem nie skrzywdzić. Jesteśmy we czworo ubodzy, musimy z kredką żyć.

— Czy tylko nie zrobię wam kłopotu?

— Mama będzie szczęśliwa, lubi gospodarstwo.

— Powiesz mi dziś wieczór?

— Jutro rano.

Po kawie Zosia w starych rękawiczkach rozdzielała delikatnie korzonki wyjętych z inspektów rozsadników ziemniaczanych i zanosiła kierownikowi, który je wsadzał w grunt i obsypywał ziemią.

— Ziemniaki potrzebują jak najwięcej powietrza w ziemi, karpiele zaś najmniej.

— Wszędzie nieodgadnione tajemnice—dodała Zosia. — Gatunkowość w naturze, niezachwiane prawo, z którego wytwarza się wśród ludzi narodowość, a w miarę wzrostu cywilizacyi—indywidualizm.

Kierownik otwierał szeroko oczy, chwytał każde słowo w lot i chował je głęboko w zwojach mózgu.

— Po roku pracy zrobisz pan ze mnie niezłą ogrodniczkę—przerwała ciszę Zosia.

— A pani ze mnie... Aj, ja całe życie zostanę...—i za chwilę dodał ze smutnym uśmiechem—kierownikiem sosnowickiej szkoły.

— Nie wiemy co komu sądzono, różnemi drogami idą losy ludzkie.

Usiadła na ławeczce, otrzepując piasek z rękawiczek.

— Pójdziemy na wieczorną przechadzkę do lasu! Czy pani lubi las?

— Ależ namiętnie. Niewidzialna siła ciągnie mnie tam. Gdy do niego wchodzę, radość wypełnia mi serce, tajemniczość mnie obejmuje, a czuję się jak u siebie.

— Mieszkała pani w lesie?

— Nie, lecz przodkowie nasi zaledwo sześćset lat jak z niego wyszli, a my przecie dźwigamy w duszach swych i nerwach przyzwyczajenia, rozkosze i bóle naszych przodków.

— Bo i ja tego samego doświadczam. I na sam projekt pójścia do lasu ożywiam się.

— Do lasu—powtórzyła Zosia—świetny projekt...

— Chodziliśmy dotąd we dwoje, teraz z panią będzie nam milej i weselej.

Nadeszła Józia.

— Pójdziemy wczorajszą drogą — oświadczyła—cichutka, jak sen. Nikogo nie widać, mięciutko pod nogami, kłosy śpią, lub kłaniają się kołysane wiatrem. Gdym została żoną Jasia i przywiózł mnie tu, na pierwszą z nim przechadzkę, poszliśmy tą drogą; jest mi najmilsza i nazywa się drogą Jasiową.

— Niechajże i pierwsza przechadzka, którą z wami zrobię, odbędzie się po drodze Jasiowej...

Wyszli. Przed nimi niebo błękitne i jasne, na zachodzie chmury skłębione i czarne, stały jak armia gotowa do boju. Na ziemi zieloność i cisza, darniowy dywan pod nogami i morze zieleni żytnich kłosów, drżących rozkoszą zapładniającego je kwiatu. Delikatne zapachy łagodziły nerwy idących, cisza ich pociągała.

— Polska wioska—mówiła Zosia — i natura z nią związana, mają tak właściwe sobie uroki, że chłoną i wcielają w siebie tęsknotę ludzką za nieskończonością.

Wsunęła rękę pod ramię Józi—szły razem.

— Nie bardzo cię rozumiem, co mówisz — szepnęła Józia—lecz mów, lubię słuchać muzyki twego głosu i słów.

— Teraz ty opowiedz, coś mówiła do męża, na pierwszej po tej drodze przechadzce.

— Com mówiła? mój Boże, to tak proste. Mówiłam mu, że go kocham, że pójdziemy razem przytuleni, że mu będę umilać życie... Wszystko to, co w takich razach dyktuje serce.

— A pan, panie Janie?

— Ja słuchałem—szczebiot jej tak się mile nadawał do ciszy wieczornej, do nawoływań świerków i śpiewu pod niebem skowronka. Zdawało mi się, że to dalszy ciąg śpiewu radosnego natury.

— Byłeś szczęśliwy.

— Nie, byłem zły, że jestem biedny.

Zosia patrzała na niego ciekawie.

— Dopiero od wczoraj przekonywam się, że bogactwo nie daje nic, że radość życia nosimy w sobie, że moją radością jest Józia. A czy mamy więcej lub mniej, to szczęściu naszemu wszystko jedno. Gdybym dzisiaj został bogaty, czuję, że nie byłoby mi lepiej na świecie—może gorzej...

— Jasiu, mówisz wielką prawdę—zawołała Józia.

— A nie byłbym tem, czem jestem.

— Nowe warunki, nowe otoczenie, czy dałyby mi to zadowolenie, które mam dzisiaj? Panno Zofio, czy dałyby?

— Niezawodnie nie— odparła Zosia — i podziwiam w panu szczerość zapatrywań...

— Tę jasność tyś mi pani dała...

— Czem?—przerwała Zosia zdziwiona.

— Czem?.. alboż ja wiem?.. Ciepłem swego serca, dobrocią — może rozumem. Czarem, jaki płynie od ciebie na ludzi...

Zosia zrozumiała siłę działania kultury.

— Patrzcie — zawołała Józia — chmury na zachodzie rozstępują się i rzedną, przepyszny będziemy mieli zachód słońca.

— Czy nie czujecie zapachu sosny i wody, na której rośnie tatarak.

Mówiąc to Zosia, stanęła, wciągając w płuca powietrze.

— Oddawna. Spieszmy się, żeby przed zachodem słońca zagłębić się jak najdalej w las.

Przyspieszyli kroku, tajemniczość lasu ciągnęła ich. Zosia kapelusz zsunęła na plecy. Twarz jej rumieniła się, włosy złociły promienie słońca, a oczy ciekawie patrzały w ciemnozieloną gąszcz.

— Dawno nie byłaś w lesie? — spytała Józia.

— O, dawno, dawno, w brzaskach mej pamięci i dzieciństwa. Nasze podmiejskie laski nie są lasami.

Weszli; przejął ich rozkoszny chłodek, nagromadzoną wilgoć wypierał z lasu swawolny wietrzyk. Las stał zasłuchany w rytmicznym szumie sosnowych wierzchołków.

— Czujecie drżenia radosne serc, jak wtedy, gdy jesteśmy u siebie, w własnym domu.

— Czujemy, tak się nam zdaje — poświadczyli Jaś i Józia...

— Ten mrok rozkoszny ze słońca, co wśród gałęzi prześwieca razi nas i straszy. Nasi przodkowie mieszkający w lasach, w wielu wypadkach słońca nie znosili.

— Mianowicie, gdy musieli się kryć przed wrogiem.

— Lub się na zwierza czaić. Wyobraźmy sobie, że polujemy na niedźwiedzia. Tam, tam, kryje się w zaroślach. Maczugi i oszczepy zaciskajmy w dłonie—otoczyć go—szeptała Zosia.

Pod wpływem jej rozkazu pomknęli żywo w gąszcz i rozśmiali się wesoło.

— Była chwila—mówiła Józia—żeśmy byli naszymi praojcami z przed tysiąca lat i czailiśmy się naprawdę na niedźwiedzia. A teraz jeść się nam zachciewa. Niedźwiedź uciekł, głód rośnie. Cóż robić?..

— Znam miejsce, gdzie rosną poziomki...

— Chodźmy!

Poszli żywo za prowadzącym ich Jasiem.

— Świat się do nas śmieje, to i my do świata, lecz niech się tylko zachmurzy, to i my smutni i przestraszeni—mówiła Józia.

— Poziomki!..—przerwał jej Jaś

— Jakiż zapach szlą do nas.

Schylili się ku ziemi.

Józia z dębowych liści zrobiła koszyczek, składając w niego zerwane jagody.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Ze świata kobiecego.

Najżarliwsi nawet stronnicy niewieściego równouprawnienia przyznać muszą, że jednem z powołań, w którem kobiety prawdopodobnie nie odznaczą się nigdy, jest adwokatura. Walka o prawa do bytu samodzielnego i rozszerzenia pola zarobków trwa dotąd. Zrobiony krok naprzód w jednym kraju, bynajmniej nie obowiązuje społeczności sąsiedniej; wykazanie w długoletniej praktyce zasadniczości większej części aspiracyi niewieścich, nie zachęca do naśladowania tego, co u siebie inni oddawna już, i z niezaprzeczonym pożytkiem zastosowali. A więc po staremu spory, dyskusye, po staremu ścieranie się opinii z jednej i drugiej strony, z tą charakterystyczną w argumentacyi walczących różnicą, że gdy rzekomo napadnięty mężczyzna broni się marnie, egoistycznie i stara się opierać wyłączność swoją dotychczasową na kruchej nader podstawie etycznej, dopominająca się o pewne prawa do życia kobieta, nie wypowiada się tak, jak powinna. Mówi wiele, a niedosyć zasadniczo, i często w tych bataliach staczanych na słowa, najlepsze argumenty pozostawia na stronie, i największych atutów swoich nie wygrywa. Dlatego utrzymujemy, że kobieta tam nawet, gdzie słuszność cała jest po jej stronie, nie jest adwokatem dobrym, i nic nam nie zapowiada, aby nim kiedykolwiek zostać mogła. Postaramy się udowodnić nasze założenie w krótkich słowach.

Najpoważniejszym zarzutem, jaki kobieta dzisiejsza mężczyźnie dzisiejszemu postawić może—zarzutem poprostu mówiąc niezwalczonym, jest ten, iż przeciwnik jej ustępujący zaledwie piędź po piędzi, i nigdy bez długiego sporu, gdy chodzi o jej równouprawnienie wobec pracy pożytecznej i szlachetnej, że ten przeciwnik szczególnie jest ślamazarnym i tolerancyjnym, gdy chodzi o zatamowanie kobiecie drogi upadku, a nawet powiedzieć można, że nic mu nie przeszkadzają wszelkiego rodzaju niecne procedery uprawiane przez jego przeciwniczkę. Zestawienie to szczególnie rzuca się do oczu i dziwić się należy, że nie podnoszą tego pokrzywdzone tak często, jak mają prawo, że nie mówią wręcz, jawnie i otwarcie, gdy się nadarza sposobność, nie korzystają z tego ciężkiego obwinienia, które współczesnej etyce męzkiej nader ubożuchne wystawia świadectwo.

Bezspornie dzierżący w ręku swoim inicyatywę prawodawczą mężczyzna, targuje się ząb za ząb z kobietą we Francyi naprzykład o jej prawo wyborcze w minimalnym pożądanym przez nią zakresie, dając jej tem samem do zrozumienia, że mu inicyatywa i współpracownictwo kobiece na tem polu zupełnie nie potrzebne, że on sam potrafi zabezpieczyć społeczeństwo, ukrócić nadużycia, a poprzeć słuszne żądania pokrzywdzonych.

Dlaczego jednakże przez tyle lat patrzył apatycznie na demoralizacyę w przemyśle kobiety, oddanej całkowicie na pastwę wyzyskowi i upadlanej przez jej zwierzchność męzką? Dlaczego nie stawiał zapory temu o pomstę wołającemu nadużyciu, dopóki się głośny protest matek rodziny dzisiaj o krzywdę nie upomniał, i nakoniec po długich dopiero sporach wywalczył kontrolę kobiecą w inspekcyach fabrycznych? Dlaczego sam nie obmyślił bez natarczywych domagań się kobiety dyżurów na dworcach kolei żelaznych, zapobiegających pochwyceniu w szpony agentów zepsucia zastępów całych młodych dziewcząt, przybywających do stolic z prowincyonalnych miast i wiosek? Czy nie uważa za szkodliwe przewidujący prawodawca francuzki i gorliwy prześladowca szerzonych przez kobiety wpływów religijnych na uczącą się młodzież, że jest w Paryżu inny zastęp kobiet o wiele winniejszy od nauczających przepisów wiary i sióstr miłosierdzia, ten mianowicie, który na różne sposoby w istocie wyzyskuje łatwowierność i ujemne instynkta ludzkie.

Ci, których oburza w najwyższym stopniu wszystko, co się tam przesądem religijnym nazywać podoba, mają w Paryżu samym blizko 2,000 kabalarek, wróżbitek i chiromantek, na które władze bezpieczeństwa patrzą przez szpary, pomimo, że te oszustki sumy kolosalne ściągają z pokolenia, które już przecie należycie podniesionem być winno umysłowo, przy pomocy świeckiego wychowania.

Dla występku tedy wszelkiej formy, jak rzekliśmy, bezkarność niczem niezamącona — dla każdej reformy stosunków pracy wychodzącej od kobiety: gorycz szyderstwa i cyniczna pogarda praw jednostki ludzkiej. Dość jest przeczytać sprawozdanie wiedeńskiego Towarzystwa, które sobie postawiło jako cel popieranie ręcznej pracy kobiet — dość jest przeczytać motywa tego zgromadzenia, aby się przekonać, że w zestawieniu zrobionem przez nas niema przesady żadnej.

Doprawdy nie chce się wierzyć, że jesteśmy w środku Europy i w roku pańskim 1900.

Rozpoczyna się to posiedzenie odczytaniem referatu, którego treść stanowi rozstrzygnięcie zagadnienia: Czy pracę kobiety w dziedzinie ducha wyżej cenić należy, niż jej pracę ręczną?

Odpowiedź wypada przecząco, a to z zasady:

„Ponieważ celem jest stowarzyszenia przez popieranie rękodzieł kobiecych, dać pracownicom na tem polu sposobność popłatniejszego, niż dotąd zarobkowania, uważa przeto stowarzyszenie za swój obowiązek *odwodzenie* jednoczesne kobiety od pracy umysłowej, która była dotąd *monopolem* męzkim, a przez wkroczenie w nią kobiet stała się z jednej strony dla mężczyzny mniej popłatną, a z drugiej odwiodła kobiety od ich *naturalnego po-*

wołania, albowiem tylko praca ręczna leży w naturze kobiety, i tylko ona odpowiada jej usposobieniu.

Pominąwszy absurd zawarty w ostatniem zdaniu, który nie zasługuje nawet, aby się nad nim zastanawiać bliżej, zdumiewać się przychodzi nad obłudą ustępu o naturalnem powołaniu, które kobieta porzucać ma niby dobrowolnie dla jakiejś chimery pracy umysłowej.

A więc nie praca wskutek braku możności założenia własnej rodziny, ale wyrzekanie się zamążpójścia i macierzyństwa, dla ponętnej myśli zabijania się trudem i niedostatkiem. A w dodatku kobiecie, którą pozostawiamy samej sobie, chcemy jeszcze dyktować prawa i wskazywać drogi, na których ma jej być dozwolonem szukanie zarobku.

Znalazła się tam przecież w tem zgromadzeniu taka jedna, która wybrawszy sobie *tę właśnie jedyną pracę, jaka odpowiada usposobieniu kobiety*, to jest pracę ręczną, i doprowadziwszy ją nawet do perfekcyi, opowiedziała filantropom dlaczego to te niepoprawne marzycielki sięgają po pracę umysłową i ośmielają się przez to stawać w poprzek mężczyźnie. Oto ona sama jako hafciarka dostała do roboty obrus z pewnego magazynu. Pracowała nad nim przez dni pięć od świtu do nocy, a gdy odniosła dostał jej się od przedsiębiorcy komplement, bo jak mówił ów człowiek, było to prawdziwe dzieło sztuki. Niestety obok komplementu było tylko 80 centów wynagrodzenia za mistrzowsko wykonaną robotę ręczną pięciodniową, która, jak wiadomo, najodpowiedniejszą jest dla kobiety.

Otóż rzecz w tem, że te kapryśnice nie chcą się zadawalniać piętnastu centami na dobę i daremnem będzie chyba zupełnie perswadowanie im, aby się w drodze ustępstw zrzekły wyższych zarobków, przez wzgląd na tego, który miał dotąd monopol pracy umysłowej, i radby przy tym monopolu pozostać na zawsze.

Jednem słowem wychodzi na to, cośmy powiedzieli w założeniu naszem. Mężczyzna, który wytwarza i ujmuje w organizacyę upadek moralny i poniżenie kobiety, który przez szpary patrzy na jej szalbierstwa, okazuje się nieustępnym, gdy kobieta chce sposobić się godnie do spełniania swojego istotnego posłannictwa w społeczeństwie, a nawet wtedy, gdy przez pracę w dziedzinie myśli pragnie zdobyć sobie niezależność.

Gorszący jest widok podobnie egoistycznego zaślepienia.

Dosyć ciekawą sprawę miały teraz do rozstrzygnięcia sądy francuzkie. Szło o zasadę w sporze nader zawiłym, którego rozsądzenie ostateczne stanowić ma prejudykat na przyszłość.

Przed kilku laty Karol Lecocq, głośny autor operetki p. t. „Córka pani Angot" otrzymał rozwód, o który, jak wiadomo, dosyć łatwo jest obecnie we Francyi. Pani Lecocq z domu Cinquin zażądała likwidacyi majątkowej. Notaryusz spisując mienie obojga małżonków, zamieścił w wykazie wszystkie wystawione w teatrze operetki, skomponowane przez Lecocq'a przez cały okres pożycia z żoną. Takiej kalkulacyi przeciwną była rozwiedziona małżonka i dlatego wystąpiła przed sądy, żądając, aby jej przyznano nietylko połowę własności tego, co stanowiły honorarya autorskie podczas trwania związku małżeńskiego, ale nadto połowę korzyści na przyszłość, jakie z tych prac osiągnie jeszcze autor. Sądy pierwszej instancyi zatwierdziły żądanie powódki, ale sąd apelacyjny wyrok pierwszej instancyi skasował. Wyszedł on z zasady, że własność literacka i artystyczna podlega prawom specyalnym, które jej owoce materyalne stawiają poza obrębem wszelkiej wspólności, i których zastosowanie właściwe znajdujemy w prawie z roku 1793. Przyznaje ono autorom własność wyłączną w ciągu całego ich życia, to więc tylko, co zrealizowanem zostało na wartość pieniężną w ciągu trwania małżeństwa, może być uważanem za przedmiot wspólności, w korzyściach zaś przypadających po dacie rozwodu, nie ma prawa uczestniczyć małżonka rozwiedziona.

Powództwo to w istocie w imię bezstronności nazwać wypada pieniactwem. Nie mogła sobie przecież wyobrazić ta kobieta, że była mężowi natchnieniem, że zatem jej się należy udział w produkcyi jego dzieł muzycznych. Nie było natchnienia tam, gdzie pożycie natchnęło małżonkowi myśl doczesnego rozdziału. To jest oczywiste.

Dowiadujemy się, że boerowie Transwaalscy mają swój hymn narodowy grywany przez muzyki wojskowe w teraźniejszej wojnie z Anglią. Autorką tego hymnu całego, a więc poezyi i muzyki jest pani Katarzyna van Rees, urodzona w Hollandyi w prowincyi Geldryi w roku 1831. Dzieckiem pięcioletniem zdradzała już p. v. Rees znakomite zdolności muzyczne, kształciła się też w tym kierunku i napisała kilka operetek grywanych z powodzeniem w jej kraju ojczystym. Najpopularniejszą z nich ma być: „Na pensyi" (Op Fostschool), do której także libretto dorobiła sama. W literaturze hollenderskiej znaną jest jako utalentowana nowelistka i poetka.

W roku 1875 odwiedził p. Rees przebywającą w Bonn, jej znajomy młodości Tomasz Burgers—podówczas prezydent rzeczypospolitej Transwaalskiej. Zgłosił się on do utalentowanej rodaczki z prośbą o pieśń z muzyką, któraby mogła służyć za hymn dla mieszkańców młodej rzeczypospolitej, której był przedstawicielem. Wieść niesie, że poezyę wraz z muzyką otrzymał prezydent na poczekaniu. Pokazuje się, że dzieło zrodziło się pod wpływem prawdziwego natchnienia—coś niby marsylianka Rouget de Lisle'a.

Zaprzeczenia rozpowszechniane przez prasę niemiecką i węgierską, co do związku arcyksiężnej Stefanii wdowy po Rudolfie Habsburskim, okazały się bezpodstawne, albowiem arcyksiężna wstępuje w drugie związki małżeńskie z hrabią Lonyay, jak o tem w ostatnich dniach zapewnia prasa półurzędowa wiedeńska. Tym razem tedy wieść nie podlega żadnej wątpliwości. Przyznać należy, że szczególnie złowróżbną, choć uroczą prawdziwie miejscowość wybrano tej parze na zawarcie obrzędu ślubnego. Uroczystość odbyć się ma w zamku Miramare położonym na wybrzeżu Adryatyku, a upamiętnionym pobytem jednej już pary nowożeńców, mianowicie arcyksięcia Maksymiliana Habsburskiego i jego małżonki księżniczki Karoliny Koburskiej.

Tragiczna melancholia owdowiałej cesarzowej Meksyku, która tam spędziła resztę życia, niby całunem grobowym osłania dotąd tę czarującą, prawdziwie monarszą siedzibę.

K.

Plon konkursowy.

(Dokończenie.)

II.

W poemacie lirycznym p. Słońskiego p. t. „Obłąkany" spotykamy znany nam dobrze z doby romantyzmu typ marzyciela, który dobra pragnie dla świata, ale niezrozumiany przezeń i wyśmiany zdobywa tylko miano „szaleńca." Od romantycznych swoich pierwowzorów różni się bohater p. Słońskiego anemiczną bladością cery. Bezkrwisty jest, jak przystało na przedstawiciela ostatnich pokoleń. Nie klnie doli swej i świata, nie wybucha złorzeczeniem i skargą „żyć nie mam siły, umrzeć nie mam siły! — wyznaje — stoi przedemną śmierć i patrzy w oczy, a wieczność ku mnie z otwartej mogiły, po trupach wierzeń moich blada kroczy!" Te słowa tłómaczą nam przyczynę niepowodzeń życiowych bohatera. Pojmujemy jasno, że wina ich leży w nim samym. Dalszy ciąg poematu przekonywa nas o tem ostatecznie. Między bohaterem a światem zaszło nieporozumienie. Działacz nie umiał oddziałać, był tylko człowiekiem marzeń, nie czynu — ztąd rozterka. Taki pogląd na główną i jedyną postać poematu, narzucający się z konieczności czytelnikowi, zmniejsza jego sympatyę dla tego człowieka, który nie w walce uległ, lecz poprostu nie umiał nawet zabrać się do walki—zniża też i stopień tragicznego natężenia i pomimo niezaprzeczonych w wielu miejscach piękności słowa, pomimo wybuchów szczerego liryzmu, autor nie zdobywa sobie czytelnika.

Poznajmyż się z treścią utworu.

Bohater opowiada nam, że jest dzieckiem ludu wyhodowanem w pańskim pałacu, gdzie wprędce zaciężyła mu miękka pańska szata, i zkąd tęsknoty jakieś ciągnęły go w dal ku żytnim łanom i ku ciemnym borom. „Nieraz wśród rzewnej wieczornej zadumy, kędyś nad morzem, kędyś w obcych górach, słyszałem borów naszych ciche szumy, i dymy wioski naszej gdzieś na chmurach, kędyś płynące widziałem od ziemi o szarym zmierzchu wstęgami srebrnemi."

Na tle tej tęsknoty inne jeszcze wyrastały obrazy, kiełkowały inne ogólniejsze myśli: „I wówczas życie patrzyło mi w oczy wielką zagadką — i szły do mnie zdala piorunne błyski... słyszałem jak kroczy po kościotrupach wielki ból Tantala." Nędze życia cieniem swoim padły na duszę marzyciela i zapragnął czynu. Więc apostołował wzniosłe idee braterstwa w sferze, której był wychowańcem „kędy egoizm w aksamitach drzemie, gdzie ludzie w piersiach mają cacka z gliny" starał się przekonać tam, że „nie z soli, nie z roli stworzono ludzi, lecz z tego

co boli.” Nie znalazłszy oddźwięku i uznania szedł do chat, między ludzi, do których należał pochodzeniem, ale w tych chatach było mu straszno. „Milcząca i cicha, jak kwiat, co w słońca wielkim majestacie chyli się smutny i drży, i usycha, stała tak dusza moja zniewieściała—dla zadymionej chaty, nadto biała i nadto pańska dla tej szarej doli...“ Jestto bardzo ładnie opowiedziana i tragicznie smutna sytuacya—ale jednak nasuwa się myśl, że przy pewnej, niewielkiej nawet dozie woli i zapału — możnaby ją zmienić.

Od tych chat rodzinnych odszedł marzyciel i zwrócił się ku gwarnemu miastu, i tym, co na progach świątyń marmurowych biją czołem mówił o miłości bliźniego. Ale oni śmiali się z niego i „z wiary chrześciańskiej.“ Zeszedł do suteryn, warsztatów, kopalni i wołał ku sobie uznojonych, w trudzie, bólu i głodzie żyjących ludzi. Ale i ci głosu jego nie pojęli. Patrzyli nań z przestrachem, mówiąc: to szaleniec. I tak stanął „na gruzach swych dążeń i wierzeń, jako raniony ów wojak bez broni, co na złamanym sztandarze ocieka krwią i skonania spokojnego czeka. I tłumiąc w oku łzy, a w sercu bole, z pieczęcią śmierci na wyniosłem czole, na ustach czując ślady zeschłej piany, sam uwierzyłem w to, żem obłąkany...”

Istotnie smutny to bardzo koniec człowieka, którego dusza zdolną była do idealnych wzlotów, smutny, ale nieunikniony wobec tego, że była to dusza słaba, nieumiejąca marzeń swoich choćby częściowo tylko wcielić w życie, a jednak chcąca wyjść poza właściwą jedynie dla siebie sferę... marzenia. Poemat p. Słońskiego powstał zapewne w pierwszych latach jego twórczości. Znać w nim młodzieńczą wrażliwość na smutki i właściwy wczesnej młodości dar patrzenia przez szkła powiększające na klęski i pogromy duchowe ludzi-marzycieli, na wszelki zresztą ból, na rozpacz wszelką. W wieku późniejszym ma się zwykle więcej męzkiej rezygnacyi, cierpienie znosi się w milczeniu, choćby zęby zaciskając z bólu.

III.

Dwaj poprzednio omawiani autorowie znani są oddawna czytającej publiczności. Inaczej ma się rzecz z panną Heleną Stattler. Nazwisko jej po raz pierwszy dopiero z okoliczności konkursu ukazało się na szpaltach dzienników. Tem większe też praca jej obudza zaciekawienie. „Kocham Warszawę! — mówi na wstępie młoda autorka i słowami zręcznej przenośni, tak maluje życie wielkiego miasta:

Tak wielkie miasto—to jest kuźni wnętrze;
Ognisko żarzy się w wiecznym upale
Od piekielnego pożaru gorętsze.
W niem serc brylanty, rozumów metale,
Myśli najskrytsze, porywy najświętsze,
Płoną i błyszczą; dwaj wielcy kowale:
Zgłodniała nędza i ambicya głucha
Biją w kowadło, a los w miechy dmucha.

Ze wszystkich kruszców, które żywiołowy
Ogień w swem łonie oczyści, przepali,
Z ziarenek złota, ze sztaby spiżowej,
Ze rdzy zawiści, z męztwa czystej stali,
Dwaj ci kowale cóż robią? podkowy!
Wszak ten prześcignie, i ten zło obali,
Kto zamiast marzeń kłaść milowe buty
Na drogę życia będzie, ostrokuty.

Z tych przeróżnych pierwiastków rozpalonych w wielkomiejskiej kuźnicy, dobyła autorka trochę kruszcu i ukuła z niego pospolitą figurkę nie na miarę Fidiasza lecz krawca, takiego sobie zwyczajnego pana, któremu za młodu szumi trochę w głowie, śnią mu się różne piękne rzeczy, ale z wiekiem trzeźwieje, chłodnie i dla chleba, w imię obowiązków rodzinnych zostaje filistrem, umiejącym nizko zginać kark, i rozpoznawać „zkąd wiatr wieje.” Postać tę tworząc miała w sobie autorka ból i pogardę, i żal za tymi ognikami świętego zapału, które gasną tak rychło po bagnach życia. Czytelnik to odczuwa i nie gniewa go pessymistyczny nastrój utworu, choćby przeciwnikiem był pessymizmu wogóle. Nie drażni go też ta proza życia oprawiona w ramy poematu. Poezya jest w duszy autorki, choć niema jej w treści utworu. Chwilami jednak wytryska ona jasnym zdrojem poprzez szarą powłokę tej powieści, „co choć wierszem jest, lecz—prozą” — jak mówi autorka.

Piękną taką chwilką jest sen bohatera, w którym żegna go jasna, urocza postać — młodość jego: „Wybacz, że cię opuszczam — mówi duch promienny — ale mi z tobą było źle: w twej duszy chłodno i ciemno; ni ognia zapału, ni tej miłości, co skały poruszy, ni promiennego niema ideału. Tak mi w niej pusto, jak wśród leśnej głuszy. Więc idę dalej szukać pośród ludzi serc, których życie tak prędko nie studzi.“

Gorącemi słowy oburzenia potępia autorka egoizm, który zasłania się miłością rodziny i rodzinnymi obowiązkami przed powinnością ogólniejszej natury:

Święta miłości, jeśli twe okowy
Są z pierza gęsi, z fartucha kucharki,
Jeśli koronę zdjąć ci można z głowy,
By ją obnosić na życia jarmarki,
Jeśli ma z ciebie być pancerz gumowy,
Który na wojnę kładą giętkie karki,
Jeżeli duchy masz zakuwać w pęta,
Święta miłości, bądź światu przeklęta!

Pierwsza próba literacka p. Stattler zapowiadać się zdaje oryginalną dosyć, wśród kobiet zwłaszcza, indywidualność autorską. Lekko ironiczny najczęściej, chwilami poważny ton gawędy — to coś niezwykłego u młodych pisarek, które zazwyczaj w liryzmie toną po uszy. Po przeczytaniu pierwszego utworu trudno jest definiować autora, tutaj jednak definicya sama jakoś nasuwa mi się pod pióro. Oto powiedziałabym: umysł męzki—serce kobiety; zdolność logicznego, ścisłego myślenia i konsekwentnego przeprowadzania swojej myśli, mało polotu, mało wyobraźni przy łatwości rymowania—głęboki, silnie ugruntowany podkład etyczny, entuzyazm skupiony i nie rozpraszający się na drobiazgi, wreszcie siła jakaś, która w przyszłości w nieprzewidzianym zupełnie kierunku rozwinąć się może.

H. C.

O duszo ma...

(naśladowanie).

O duszo ma, odbieżmy ztąd,
Odbieżmy w wiekuistą dal —
Porzućmy tchnień doczesnych ląd
I ziemskich rzeczy żal...
O duszo ma, odbieżmy ztąd,
Poprzez skończonych zdarzeń prąd
W wiekuistości dal!..

O duszo ma, z materyi pęt
I ziemskich tchnień niewoli,
Niech mimo zjawisk ziemi męt
Twa moc ciebie wyzwoli...
Porzuć twych więzów nędzny byt,
I niech tej ziemi żaden zgrzyt
Nie pójdzie z tobą w dal!..

Ach tam dopiero ujrzym, tam,
Nieskończoności moc,
I tam jedynie zniknie nam
Tajemnic bytu noc!
Czemże tam będzie więzów brzęk,
I bólów ziemi płacz a jęk,
Tam, wśród Wieczności fal!?..

Helia.

Nasza muzyka w Paryżu.

Dyrektor Opery p. Emil Młynarski powziął myśl poznajomienia świata cywilizowanego z muzyką polską, a to za pomocą przedstawienia w Paryżu podczas wystawy jednej z oper naszych—rozumie się Moniuszkowskiej. Projekt spotkał się z uznaniem ogólnem w zasadzie, niezgodność zachodzi tylko co do wyboru sztuki. „Halka,“ „Straszny Dwór,“ „Verbum nobile,“ „Widma“ — oto utwory, między którymi wahają się opinie naszych powag muzycznych, a obok względu takiego, jak trafienie do gustu publiczności wszechświatowej wogóle, a paryzkiej w szczególności, występuje obrachunek z naszemi siłami artystycznemi w danej chwili, od których w znacznej części, zdaniem znawców, wybór sztuki zależy.

Nadto, jedni twierdzą, że nie można nic mówić o wyborze artystów, póki nie będzie decyzyi na operę—inni biorą rzecz odwrotnie, i nie chcą wybierać opery, dopóki się nie rozejrzą w personelu artystycznym. Prawdopodobnie jedni i drudzy mają za sobą względną słuszność, ponieważ zaś do decyzyi na tej drodze dojść było trudno, rozpisał „Kuryer Warszawski“ zapytania do znanych muzyków i przedstawicieli krytyki literackiej z prośbą o wypowiedzenie opinii w danej kwestyi. „Kuryer“ zapytuje tylko o dwa utwory Moniuszki, mianowicie o „Halkę“ i „Straszny Dwór,“ a ewentualnie—o „Verbum nobile.”

Oto zdania zapytanych:

1) „Zawsze głosuję za „Halką“
Stanisław Barcewicz.”

Pan Jan Karłowicz utrzymuje, że wypadałoby w Paryżu dać poznać z utworów Moniuszki takie, które najlepiej trafią do smaku miejscowego. Że zaś największą u francuzów popularnością cieszy się opera komiczna, przeto p. Karłowicz daje swój głos za „Verbum nobile“ lub „Strasznym Dworem,” z zastrzeżeniem, aby ich teksty dobrze przetłómaczono na język francuzki, dla rozdania między widzów przy sprzedaży biletów.

Pan Piotr Maszyński mniema, że gdyby chodziło o wystawienie opery polskiej w Paryżu, głosowałby przedewszystkiem za „Halką,“ a to ze względu na wszechludzki wątek dramatyczny i na samą dostępność muzyki dla obcych. Poza tem, jako wyraz nowego kierunku w muzyce polskiej, p. Maszyński doradza wystawienie „Goplany,“ nadmieniając dodatkowo, że i „Verbun nobile” byłoby nie do pogardzenia.

Pan Adam Müncheimer odpowiada w kilku słowach:

„Straszny Dwór“ albo arcydzieło „Verbum nobile“—„Halka“ nie dla francuzów.

P. Zygmunt Noskowski utrzymuje, że w Paryżu dać się powinno tylko „Verbum nobile“ i „Widma” uscenizowane przez p. Chodakowskiego. Pierwsze dzieło, jako typowo polskie, sympatyczne — drugie ze względu, że przypomina jednocześnie Mickiewicza i Moniuszkę.

P. Gustaw Roguski wybiera między „Halką“ i „Strasznym Dworem” i daje głos swój za „Halką“ z tej przedewszystkiem racyi, że treść „Strasznego Dworu” jest tak nawskróś polską, iż jej żaden francuz nie zrozumie, a tembardziej nie odczuje. Co do samej muzyki Moniuszkowskiej, tej p. Roguski stanowczo nie wróży powodzenia w Paryżu, albowiem cechująca ją melodyjność uważaną jest wogóle na zachodzie jako anachronizm, a nawet grzech przeciwko muzyce.

P. Juliusz Stattler twierdzi, że obecnie opery Moniuszki z wyjątkiem „Hrabiny” i „Verbum nobile,“ mają u nas wykonawców nieodpowiednich, inscenizacyę wadliwą, a dekoracye ohydne. Tak wystawione dałyby najgorsze wyobrażenie i o twórczości Moniuszki, i o stanie sztuki w naszym kraju, a ktoby chciał te dzieła wystawić w Paryżu, powinien się postarać o doskonałych wykonawców i o postawienie sztuk na stopie wymaganej świetności pod względem wystawy. A nawet gdyby to było możliwe „Halka“ i „Straszny Dwór“ mogłyby w Paryżu wywrzeć wrażenie ujemne, albowiem cudzoziemcy pod względem budowy sztuki i instrumentacyi wybredniejsi są od nas. Pozostaje tedy jedno „Verbum nobile,” któremu jako dziełu sztuki nie można nic zarzucić, albowiem jest ono w całokształcie swoim jednolitem, doskonale zrównoważonem w każdym szczególe — typowo swojskiem, a co ważne bardzo, dającem się łatwo wystawić.

Oprócz „Verbum nobile“ godziłoby się w Paryżu przedstawić „Sonety Krymskie,“ które dałyby poznać twórczość Moniuszki w innym kierunku sztuki.

P. Sygietyński daje odpowiedź kategoryczną tej treści:

1-o) Powodzenie „Halki,“ a tembardziej „Strasznego Dworu“ uważa on za wątpliwe.

2-o) „Verbum nobile“ mogłoby się podobać, gdyby wszyscy wykonawcy stali na tym poziomie artystycznym, co p. Chodakowski, a tak nie jest; na pobłażliwość zaś publiczności paryzkiej niema co liczyć.

3-o) Pomysł wystawienia obecnie jakiejkolwiek opery polskiej w Paryżu, uważa p. Sygietyński za niewczesny, co przyobiecuje uzasadnić w niedługim czasie.

W tych mniej więcej słowach wypowiedzieli się muzycy w kwestyi ewentualnego przedstawienia w Paryżu w roku 1900 jednego z dzieł Moniuszki. Przyznajemy, że i ton, i treść tych piśmiennie wyrażonych opinij robią na czytającym najsympatyczniejsze wrażenie, albowiem mimo różnicy zdań co do samego wyboru sztuk, przebija wszędzie cześć prawdziwa dla pamięci nieodżałowanego pieśniarza naszego i pragnienie przysporzenia mu pośmiertnej sławy u obcych. Mimochodem mówiąc, mogliby u nas nie muzycy, a zaliczający się także do profesyi wolnych, wziąść z tego przykład w jaki to sposób honoruje się... ale dajmy lepiej pokój tej kwestyi, bo jesteśmy pod wpływem świeżych a tak ujemnych wrażeń, żeby nas poruszenie tego rodzaju drażliwości od sprawy głównej oddalić mogło. Wszak tu chodzi tylko o to, czy mamy się postarać o wystawienie jednej z oper Moniuszkowskich we Francyi i której mianowicie.

Zarzuty, jakie przeciw temu zamiarowi stawiają muzycy, są jak widzieliśmy rozmaite. Ci, którzy nie życzą sobie „Halki“ kładą jako motyw ubóstwo sił artystycznych, brak uznania na zachodzie dla muzyki, w której przemaga melodya, liche dekoracye. a może i pewne, dla znawców zrozumiałe tylko, niedoskonałości w budowie tej opery. Stronnicy zaś wystawienia tej właśnie sztuki twierdzą, że przemawia za nią wszechświatowa treść libretta i radzą przygotować dla francuzów możliwie dobry przekład Wolskiego, aby nieznający języka naszego rozumieli, o co chodzi.

Inni doradzają „Straszny Dwór” — jeszcze inni przemawiają za „Verbum nobile,“ a są i tacy, którzy dla przedstawienia wielostronności talentu Moniuszki, mówią o „Widmach“ i „Sonetach Krymskich.“

Nie mamy zamiaru dodać tu od siebie ani jednego słowa, tam bowiem, gdzie przemawia kompetencya nie dająca się kwestyonować, tam głosy dyletantów, choćby ci nawet po swojemu byli najentuzyastyczniejszymi wielbicielami talentu Moniuszki, żadnego znaczenia mieć nie mogą. Nie wolno im na tej radzie zabrać słowa, ale może wolno będzie wypowiedzieć przekonanie swoje w sprawie samego projektu posłania do Paryża muzyki naszej w roku 1900—posłania „Halki,“ „Strasznego Dworu,“ „Verbum nobile,“ „Widm,“ „Sonetów“ — czegokolwiekbądź. Przypuśćmy tedy, że mamy środki inscenizacyjne bogate, żeśmy pozyskali siły artystyczne te nawet, które nie racząc nigdy śpiewać dla swoich, konserwują swoje głosy dla dobrze płacących cudzoziemców—przypuśćmy, że gust francuza dzisiejszego wykształcony na Offenbachach i Lecocque'ach może odczuć liryzm muzyki naszej—dajmy na to, że w tłómaczeniu „Halki” zbliżył się ktoś aż do poetycznego nastroju Włodzimierza Wolskiego, dajmy na to, że mamy wszystko, czego potrzeba, aby wykonanie godne było dzieła. Czy w takim razie znaczy to, żeśmy powinni muzykę naszą zawieźć francuzom w roku bieżącym?

Głęboko przekonani jesteśmy, że się tego robić nie godzi. Choćby dzieło było arcydziełem bez cienia, a wykonanie przeszło mistrzowstwem wszystko, co Paryż zobaczy w porze wystawy, nie godzi się nam narażać Moniuszki i nas samych na niechybny, nieuchronny a gorzki zawód, który nas tam oczekuje. Z czemkolwiekbądź zaprodukujemy się w Paryżu, porażki pewnymi być możemy, tak jak gdybyśmy się produkowali przed głuchym, a niema, jak wiadomo bardziej głuchego, jak ten, który słyszeć nie ma ochoty.

Nie zbywa nam chyba na dowodach, że tak jest, a nie inaczej.

Brak powściągliwości, narzucanie się nie w porę, nieposzanowanie samego siebie—nietakt jednem słowem, jednostkom i zbiorowościom ludzkim, tego samego rodzaju gotuje upokorzenia.

Jeśli nam pilno jest połknąć taką gorycz, możemy się pokwapić z naszą muzyką do Paryża. Pewność, że nas ona nieminie jest prawie matematyczną.

A. S.

JULIUSZ ZEYER.

Na pograniczu obcych światów.

przełożył MIRIAM.

(Dalszy ciąg).

Śmiała się, oczy jej przy tem do ubóstwienia świeciły, a sznur najpiękniejszych w świecie zębów ukazał się z za warg malinowych. Ale, mimo całego czaru jej postaci, zimno mi się zrobiło. Pomimo całej czci dla geniuszu Kopernika, zrobiło na mnie imię jego w tych pięknych ustach wrażenie, jakby mnie ktoś kamieniem, choćby nawet najdroższym uderzył. Miałem zawsze wstręt do kobiet uczonych, i myśl, że stary pedant Frydecki ostatecznie zmusił może córkę do zajmowania się astronomią, wstrzęsła i przeraziła mi duszę.

— Spodziewam się, Floro, że nie łamiesz sobie bardzo głowy nad systemem Kopernika? — spytałem zamierającym głosem. — Czy też może zajmujesz się astronomią?

— Mój ty Boże, co ci znowu przychodzi do głowy?—zawołała, a mnie kamień spadł z piersi.—Myślę, że krotochwilnej książki Fontenelle'a nie zaliczasz ściśle do tej dziedziny? Czy astronomia jest taka zajmująca?

— Nie wiem — odpowiedziałem — dbałem wogóle zawsze tylko o ten jedyny, dla mnie zajmujący świat ziemski. Patrz, jaki to miły zakątek — dodałem rozglądając się po okolicy.—Wszystko tu takie słoneczne, jasne, prawie włoskie! Wierzaj mi, Floro, że zatęsknisz, gdy ci się z tym krajobrazem rozstać przyjdzie.

— Zatęsknię? Jakto? Pocóżbym miała ztąd odchodzić?

Utkwiła we mnie ze zdumieniem wielkie swe oczy.

— Chciałem powiedzieć, gdybyś naprzykład za mąż poszła—odrzekłem, patrząc na nią badawczo.

Spuściła oczy, ale nie znać było na niej żadnego zmięszania.

— Nie myślę o tem dotychczas — rzekła z prostotą i zamyśliła się.

Zboczyliśmy na drożynę, która od gościńca między głogami, do domu Fryderkiego się wiła. Dom, którego styl wyśmiewałem przed chwilą, był, choć przyznać nie mogę, abym go sądził niesprawiedliwie, nader malowniczy, cały winem obrosły, nawpół ukryty w starym ogrodzie owocowym. Za nim bujna winnica wdzierała się pod górę na stromym stoku. Z dróżki, którąśmy przyszli, wiodło mniej więcej osiem stopni pod górę do ogrodu. Były spadziste, z pojedynczych szarych ułożone głazów, a z głębokich szczelin i szczerb ich rosły stokrocie i chyliły pokornie maluchne główki na żółty mech, którym stopnie grubo porosły. Flora wbiegła szybko po schodkach i pośpieszyła naprzód pod grubo, z poczerniałego drzewa zbudowany przysionek domu; porozmawiała chwilę z kobietą, która właśnie do ogrodu weszła, i jak łania pędem wróciła do mnie w chwili, gdy na ostatni wstępowałem stopień.

— Ojciec nie wrócił jeszcze—rzekła—pójdźmy do altanki.

Poprowadziła mnie od domu aleją starych drzew do altanki obrosłej kwitnącem kapryfolium, nad którem roje pszczół w słońcu ulatywały, rozkosznie pieszcząc ucho cichą brzęków swych gędźbą. W zacisznem tem schronieniu spożyliśmy owo sielankowe śniadanie z lat dziecinnych, złożone z mleka i razowego chleba, a Flora taka była miła, taka wesoła i szczebiotliwa, że czas dziwnie szybko nam zbiegał. Tylko słoneczne, im dalej, tem gęściej wdzierające się promienie, ostrzegały mnie, że dzień znacznie posunął się naprzód.

Nagle przerwał nam zabawę gwałtowny odgłos, jak gdyby ze złością pociągniętego dzwonka. Flora drgnęła, pobladła lekko i wesołość jej znikła nagle, jak za dotknięciem czarodziejskiej pałeczki.

— To ojciec, ktoś zamknął widać furkę od od ogrodu—rzekła prawie bezdźwięcznym głosem i wstała. Po chwili znikła.

We mnie wzmagały się—nietylko niepokój, lecz i jakieś niezadowolenie z siebie samego. Nie mogłem ukryć przed sobą, że Flora mnie oczarowuje, że chłód mój pierzcha przed słonecznem spojrzeniem tych oczu i powabnym uśmiechem tych usteczek różanych. Wydawała się pełną prostoty, zachowanie się jej było zupełnie naturalne, ale któż wie, czy wszystko to nie było umyślne i umiejętne? Może Flora wiedziała jednak o planach ojca i pomagała mu ze zwykłej u wszystkich kobiet skłonności do intryżek? Albo może działała na własną rękę, zgodziła się na związek, ale chciała, abym przedtem karku przed nią ugiął? Zkądże ten przestrach z powodu przyjścia ojca? Sumienie wyrzucało jej widocznie kokieteryę, choćby nawet niewinną. A kokieterya, która kładzie na twarz maskę szczerości, jest najniebezpieczniejszą.

— Nie, panna Adelma nie naprózno mi dała naukę—pomyślałem. I patrzyłem zupełnie obojętnie na wracającą Florę.

— Widziałam, jak ojciec wchodził do domu—rzekła—pójdź, Łazarzu!

Po chwili staliśmy w ciemnej sieni domu. Flora otworzyła pierwsze drzwi.

— Wejdź tutaj—wskazała ręką — poproszę zaraz ojca.

Jak strzała pobiegła w głąb korytarza, gdzie słyszałem, jak po drewnianych, mocno skrzypiących schodach na pierwsze weszła piętro. Zwróciłem się do wskazanego mi pokoju. Był to widocznie salon; bardzo prosty, prawie ubogi; tylko kilka krzaków różanych w białych doniczkach, ptaszę jakieś w klatce i wielki bukiet w chińskim wazonie przed zwierciadłem, dodawały tej skromnej komnacie nieco wdzięku poetyckiego. Były to jedyne ślady łagodniejszego kobiecego charakteru w niepociągającym tym pokoju. U okna stała mała kanapka, na której leżały otwarta książka i słabo, lecz nader mile pachnąca batystowa chusteczka; przedmioty te należały widocznie do Flory. Mam stary zwyczaj, że muszę przeczytać tytuł każdej książki, która mi wpadnie pod rękę; i tym razem rzuciłem mechanicznie okiem na lekturę Flory. Podziw mój był niemały: ujrzałem „Księgę o zakładaniu klasztorów,“ napisaną przez świętą Teresę!

— Ojciec prosi cię, Łazarzu, abyś zechciał pofatygować się do niego na górę do pracowni—rzekła Flora, wchodząc do pokoju — przechadzał się dziś niezwykle długo, jest bardzo znużony, wybacz mu.

Trzymałem dotąd książkę jej w ręku.

— Floro—spytałem ze zdziwieniem—ty czytasz św. Teresę? Czyż podobna, aby cię coś podobnego zajmowało?

— Nie wiem, czemu się dziwisz—odpowiedziała poważnie i z prostotą.—Nie powiedziałam ci jeszcze, że mam zamiar wstąpić do klasztoru; toć nie wymówiliśmy jeszcze do siebie ani jednego poważnego słowa, swawoliliśmy tylko jak dzieci.

Zląkłem się tych słów.

— Żartujesz!—zawołałem, i głos mi zadrżał, a ręka ścisnęła tak gwałtownie rękę jej, którą jakoś bez mojej wiedzy pochwyciła, że Flora nie mogła się powstrzymać i lekko krzyknęła z bólu, ale źrenice zaiskrzyły jej się przy tem radośnie, słaby rumieniec przebiegł jej twarz, i spuściła oczy.

— Baczność, Łazarzu!—ostrzegł mnie zaraz zimny rozum — to mała czarownica, której o mało nie udało się przemienić cię w osła, jak to niegdyś tessalska jej siostrzyczka z poczciwym zrobiła Apulejuszem.

— Spodziewam się — dodałem głośno, że ojciec twój nigdy na podobne szaleństwo nie pozwoli?

— Ojciec nic dotąd nie wie o moim zamiarze—rzekła szybko z przestrachem. — Proszę cię, Łazarzu, nie wymów się o tem przed nim; dość będzie czasu, gdy stanowczo się zdecyduję.

— A ty żmijko! — pomyślałem — uczyłaś się, widzę, u panny Adelmy? Wierzę, że ojciec o niczem nie wie, prawdopodobnie przed kwadransem sama jeszcze swego powołania do klasztoru bynajmniej nie przeczuwałaś?

Otrzeźwiałem zupełnie.

— Nie obawiaj się niczego, Floro — zapewniłem ją.—Ale cóż ci stoi na przeszkodzie do stanowczej decyzyi?—dodałem badawczo.

Milczała przez chwilę, potem jęła mówić, utkwiwszy we mnie marzące swe oczy.

— Doprawdy, Łazarzu, nietylko osoby, lecz i przedmioty zdradzają nas niekiedy, a książki, które czytamy, stają się czasem niby nagle otwartemi oknami, przez które każdy zajrzeć może do duszy, gdzie myśli swe taimy. Dożyłam właśnie takiego doświadczenia z tobą; zaskoczyłeś mnie, jak gdyby na tajnej pielgrzymce do strąconego, w ukryciu tylko czczonego bóstwa. Trzymasz mnie za rękę, chcesz wytłómaczenia i niepodobna ci się wyśliznąć. Łazarzu, byłeś mi miłym druhem w dzieciństwie i zostałeś mi miłym, choćbyś nawet sam o mnie zapomniał. Zwierzę ci się tedy. Zamiar mój wstąpienia do klasztoru jest wynikiem zimnego rozumowania, nie zaś zapału religijnego, lub przesadnego rozmiłowania się w mistycyzmie. Jestem młoda, a jednak życie me w gorzkie już obfituje doświadczenia. Matki nie znałam—a co gorsza, ojciec mój nigdy mnie nie kochał i nieprzyjaznych względem mnie uczuć wcale nie taił.

— Gdyby nawet tak było — przerwałem jej mowę — jeszczebyś nie miała przyczyny grzebać sama siebie za życia, jeszczebyś nie miała potrzeby iść drogą, którą rozum i przyroda zgodnie potępiają.

— Nie podzielam twego zapatrywania—odpowiedziała Flora.—Cóż może być naturalniejszego od ucieczki, gdy serce mamy zranione, a duszę smutną, w opiekuńcze cienie murów świętych? My zwłaszcza, kobiety, wiele mamy do zawdzięczenia tej instytucyi, bo klasztory dawały nam za czasów najbardziej barbarzyńskich pewną nie pozbawioną dostojeństwa samodzielność, której nam społeczeństwo odmawiało w domu, czy to ojców, czy małżonków. Dziewczęta oddawały się Bogu, aby uniknąć męża, i zda mi się, że klasztory były tedy pierwszem i dość szczęśliwem rozwiązaniem emancypacyi w średniowieczu. Niech cię nie przestrasza słowo to w mych ustach; czytałam gdzieś coś podobnego i trafem przyszło mi to teraz na myśl. I jest w tym właśnie rodzaju emancypacyi coś świetnego, wielkiego, nawet podniosłego, co napełniało mnie zawsze czcią i podziwem, podczas gdy dzisiejsze próby wyzwalania naszej płci z waszej mocy, choćby w zasadzie dobre były i słuszne, mają jednak w sobie coś prozaicznego, częstokroć nawet śmiesznego, tak, że się na was mężczyzn za drwiny wasze i szyderstwa nawet obrażać nie mogę.

— Bronisz dobrze swej sprawy—odparłem—pod wieloma względami przyznaję ci słuszność. Dobrze. Powiedziałaś mi tedy, co cię z życia wypędza i co do klasztoru cię ciągnie, powiedzże mi także, co ci nie daje urzeczywistnić swego przedsięwzięcia?

(*Dalszy ciąg nastąpi*).



Opuszczanie ziemi.

Narzekania właścicieli większych na brak rąk roboczych liczą się już dzisiaj do tego rodzaju utyskiwań, z któremi oswoili się wszyscy i których dlatego nikt nie słucha. Trzeba jednak nabrać należytego wyobrażenia o tym ruchu olbrzymim, a raczej o tej wielkiej ucieczce ludności rolnej, aby ocenić w przybliżeniu chociaż ujemne następstwa jakie pęd podobny zrodzić musi koniecznie. Do fabryk w Sosnowcu, Zawierciu, Częstochowie i Łodzi, ściąga się tłum ludzi z trzymilowego pasa, wzdłuż całej linii od Suchedniowa do Strzemieszyc. Młodzież cała zwabiona pogłoskami wyższych niż na roli zarobków, porzuca wioski i miasteczka, i spieszy do fabryk i kopalń. Dwory ratują się sprowadzaniem służby folwarcznej przeważnie z Galicyi. Taki jest stan rzeczy w okolicach fabrycznych, zobaczmy co się dzieje tam, gdzie niema fabryk, bo i z takich niemniejsze słychać narzekania na zupełny brak robotnika rolnego. Oto co w tej sprawie donoszą z Kaliskiego i z gubernii Łomżyńskiej, Płockiej i Suwalskiej. Z samej tylko Kaliskiej wyemigrowało do Prus w roku zeszłym 40,000 ludności męzkiej i żeńskiej i drugie tyle z wymienionych pozostałych trzech gubernii — razem 80,000 ludzi utraciło nasze rolnictwo. Pismo niemieckie „Zeitschrift für Sociale Wissenschaft“ twierdzi, że większa część tych robotników nie pozostała w powiatach nadgranicznych, jak to miewało miejsce w latach poprzednich, ale udała się w głąb Niemiec, ku prowincyom nadreńskim mianowicie.

Pogadanka.

O modach.

W bieżącym karnawale panie poważniejsze, nie tańczące, widzimy ubrane w materye ciężkie: atłasy, adamaszki, ale w takt mody, jak było zapowiedzianem na początku sezonu, przeważnie w toaletach aksamitnych. Zagranica dostarcza najrozmaitszych odcieni aksamitów lśniących, w morę, wyciskanych w duże bukiety, ale bądź co bądź stanowczo gładkie są najpiękniejsze i kolor każdy podnosi się w matowym, jednolitym tonie. Do wykończenia tego rodzaju toalet, niezbędne są koronki.

Tego roku ubierają toalety balowe niezmiernie obficie kwiatami. Oko nasze po części odzwyczaiło się od tego kwiecistego zbytku, patrząc od lat tylu na skąpe bukiety porozmieszczane przy staniku i sukni. W obecnym sezonie całe girlandy opadają z ramion od stanika do dołu spódnicy. Prześliczne są takie girlandy z bladych, delikatnych róż właśnie na ciemnych aksamitnych toaletach. Ponieważ naśladowanie dawnych strojów jest ciągłem dążeniem obecnej mody, girlandy te delikatne przypominają żywo epokę Ludwika XVI, w której na wszystkiem i na wszystko rzucano róże.

Do tych właśnie stylowych sukien, jako wybryk mody zaliczyć wypada małe paniers, które najwierniej tę epokę uprzytomniają.

Panienki i młode osoby, występujące w lekkich sukienkach, mają do wyboru miękkie jedwabie, gazy lśniące, gładkie i w deseń, muszliny przezroczyste i prześliczną nową materyę niezmiernie efektowną, t. j. muszlin jedwabny skropiony łzami brylantowej rosy, które przy oświetleniu błyszczą jak ogniki rozsypane.

Dużo wogóle spotykamy na sukniach młodych osób świecideł, inkrustowanych ozdób, haftów naśladujących złote i srebrne. Jestto piękne wieczorem, rzuca się w oczy przepysznymi połyskami, ale odpowiednie jedynie na lekkie sukienki młodych panienek.

Z kolorów chyba żadnych nowych wyróżnić, ani specyalnie ulubionych wymienić nie możemy. Biały, jasno-niebieski (sky), różowy, czyli te same, co się co rok powtarzają; zdobią je tylko kwiaty, jak już mówiliśmy, obficie.

Mamy pod ręką sporą wiązankę zagranicznych kostiumów; panie szukają w tym razie zawsze czegoś oryginalnego, jakiejś fantazyi nowej, by się wyróżnić, zwrócić uwagę czemś jeszcze niebywałem.

Kostium kwiatowy Oset. Krótka sukienka biała atłasowa, skrojona formą princesse, u szyi dekoltowana, maleńkie bolero narzucone z blado-zielonego aksamitu. Suknia cała w aplikacye wypukłe, naśladujące różowe kwiaty ostu, wraz z kolczastymi badylami. Dół sukni otacza szeroka plisa aksamitna blado zielona, na której malowane są kwiaty ostowe. Pończochy i rękawiczki w kolorze blado-zielonym, pantofelki białe atłasowe, na których bukiety ostu. Takież różowe kwiaty na głowie i ramionach. Wachlarz biały malowany w gałęzie ostowe.

Drugi kostium naśladujący kwiat habru. Na szafirowej atłasowej spódniczce krótkiej zarzucona druga gazowa lekka, zaplisowana drobno, brzegi wycinane u dołu w zęby strzępiaste, naśladujące wiernie płateczki habrowe. Na biodrach dopasowano obciśle materyę blado-zieloną, malowaną w żyłki kratkowane, jak się to u polnego kwiatka widuje. Staniczek szafirowy aksamitny, z przodu otwarty nakształt bolera; otwór uzupełnia szafirowa gaza strzępiona w rureczki złożona, naśladująca kwiatek. Rękawy aksamitne długie zachodzą aż na rękę. Staniczek u wykroju, rękawy, brzegi bolera oszyte sznureczkiem złotym. Pończochy szafirowe, pantofelki ze złocistej skórki. Na głowie osadzony kwiat habru z zieloną łodygą podniesioną w górę.

Czterolistna koniczyna. Spódniczka z plisowanej różowej gazy w kolorze kwitnącej koniczyny, oszytą jest u dołu girlandą z zielonych liści czterolistnych, wycinanych z gazy. Staniczek gorsecikowy z białego atłasu ma z przodu przypięty wielki liść czterolistny, wykrojony z ciemno zielonego sukna z żyłkami odpowiednio malowanemi. Na gorsecik biały zarzucone małe bolero z półdługimi rękawami w kolorze różowym spódnicy. Wysoki kołnierz Médicis złożony jest z zielonych liści koniczyny. Na głowie kapelusik filcowy różowy przybrany wielkim liściem czterolistnym zielonym. Buciki także zielone, wykrojone ażurowo w listki koniczyny.

Polny konik. Składa się z jasno-zielonej atłasowej bardzo obcisłej spódniczki i z bolera krótkiego z zielonego aksamitu o długich, w zakładeczki zagiętych rękawach. Bolero przyciska gorsecik atłasowy zielony—wszystko razem oszyte na brzegach grubym złotym sznurem. Z pod bolera z tyłu wychodzą dwa długie skrzydełka gazowe, bladozielone. Głowa ma strój naśladujący łebek polnego konika z długiemi stojącymi w górę czułkami. Pantofelki złociste, zielone jasne pończochy.

Wskazówki i rady.

Kawa mrożona.

Pół funta kawy mokka sparzyć czterema szklankami wrzącej wody, sypiąc kawę w woreczek płócienny włożony w porcelanową wazę, parzyć po cztery łuty, każdą część oddzielnie jedną szklanką, inaczej się źle sparzy. Można nawet trochę więcej wody dolać, aby samego wyskoku kawy było cztery szklanki. Dwadzieścia cztery żółtek rozbić doskonale z dwoma funtami pudru; pół garnca zwyczajnej śmietanki zagotować, wrzuciwszy całą laskę połamaną wanilii, tą zagotowaną śmietanką zaparzać powoli ubite żółtka, które nigdy się nie zwarzą wlawszy poprzednio łyżkę zimnej śmietanki w jaja. Gdy cała śmietanka dobrze z jajami wymieszana, wlać owe cztery szklanki wyskoku kawy, wymieszać i zostawić do wystudzenia. Czynność tę robi się przed południem, w dzień przyjęcia, na którem chcemy padać kawę. Wieczorem około godziny 6 lub 7 wziąść kwartę kremowej śmietanki, ubić, wymięszać z przygotowaną massą kawową, włożyć w puszkę porcelanową umieszczoną w kuble z lodem, zakręcić z kwadrans tą puszką, zostawić na godzinę, znowu otworzyć, wymieszać łyżką osiadłą na ściankach puszki massę, znowu zakręcić z dziesięć minut, a powtórzywszy to działanie raz jeszcze, będziemy mieli wyborną kawę mrożoną na 50 osób najmniej. Kawę przeparzoną, dosypawszy parę łyżek świeżej, zagotować raz na ogniu, a będziemy mieli wyborną kawę do podania po kolacyi. Puszkę porcelanową z lodem dostarczy każda cukiernia, gdzie się robią zwykle obstalunki. Proporcya ta wystarcza na 50—60 małych filiżanek.

Lucyna Ćwierczakiewiczowa.

Odpowiedzi od Redakcyi.

W na Saw. Początek „Alkhadara“ i „Wyzwolonej“ wyczerpane. „Wyzwolona“ wyjdzie wkrótce w książce.

W-na Ziel. w Ostr. Pismo wysłane. Rubryki tej „Tygodnik“ nie ma.

Lekarz-Dentysta A. Zawadzki

Jerozolimska Nr. 49. (róg Marszałkowskiej) 13

Sienkiewicza portret kolorowy z akwareli *Mordasewicza* do nabycia wszędzie za rb. 1.50, z przesyłką rekomendowaną rb. 1.70.

Bezpłatnie portret otrzymają całoroczni nowi prenumeratorzy **„Biesiady Literackiej“** zgłaszający się bezpośrednio do Redakcyi Warszawa, Chmielna № 26.

Lekarz=Dentysta G. KLISTER.

Aleja Jerozolimska № 21 162

Dentysta H. Libkind=Lubodziecki

Żórawia 16, mieszk. 12, róg Kruczej. 96

Do numeru dzisiejszego dołącza się dodatek z modami.




GŁÓWNY SKŁAD ŻYRARDOWSKI

w Warszawie, Krakowskie-Przedmieście 55

poleca na obecny sezon:

Flanele, Barchany, Materyały puchowe. Kołdry watowane, flanelowe i pluszowe. Gotową bieliznę damską i męzką.

Płótna, ręczniki, chustki, stołowa bielizna.—Materyały meblowe. Firanki.—Dywany.—Portyery. 41

Gotowe wyprawy od 100 rubli.

JAN GRUCZYŃSKI i S-ka

Warszawa, Krakowskie-Przedmieście Nr. 7.

CENY PRZYSTĘPNE. na sezon karnawałowy polecają:

Wełny z jedwabiem na suknie wieczorowe.
Jedwabie od skromnych do najstrojniejszych adamaszków.
Gazy i Muśliny jedwabne w najmodniejszych kolorach.
Tiule i muśliny bawełniane fantazyjne.

Aksamity miroir, Koronki, Wstawki, Gipiury i Galony. *CENY PRZYSTĘPNE.*

SZKOŁA KROJU I SZYCIA
M-me MERCÈRE

Nowy Świat Nr. 42. 197

Kursy wyższe i niższe, system łatwy org. **Paryski**, zdejmowanie fasonów bez rysowania orm. Warunki przystępne. Wykład w 4-ch językach. Po ukończeniu uczennice otrzymują patenty z Cechu. Dla przyjezdnych Pensjonat z konwersacją francuską, niemiecką i fortepianem.

Dostawcy Dworu.






TOWARZYSTWO **A. RALLE i S-ka**

w Moskwie.

polecają: PERFUMERYĘ.

„Pensée"

Perfumy, Puder, Mydło i Wodę Kolońską

dostać można w Magazynie własnym **w Warszawie, ulica Wierzbowa № 7,** i w znaczniejszych magazynach perfumeryjnych, oraz składach aptecznych.

GEBETHNER i WOLFF

17. Krakowskie-Przedmieście 17.

71 G NAJWIĘKSZY W KRAJU

Skład Pianin



Fortepianów i Organów

WYNAJEM. Sprzedaż na raty.

Bensdorpa czyste hollenderskie **Kakao**

wyróżnia się z pośród wszystkich innych marek wyjątkowo **doskonałym smakiem i absolutną czystością**, jest przytem łatwo rozpuszczalne i nadzwyczaj wydajne.

Konkuruje zatem li tylko **wysokim gatunkiem** (przy pełnej wadze puszek), co dla konsumenta tego artykułu jest rzeczą pierwszorzędnego znaczenia.

SKŁAD HURTOWY NA KRÓLESTWO POLSKIE

w Domu Handlowym

JAGIEŁŁO & KORZYCKI

Warszawa, Bielańska 9. 205

Hollandsche Cacao en Chocoladefabrieken vh. Bensdorp & Co. A. G. Amsterdam. Bussum

Tanio, bo na I-em piętrze! 164
Marszałkowska Nr. 87, róg Wspólnej.
→ P. MARCINKOWSKI i S. TOMCZAK ←
Pracownia Wieńców, Bukietów Makarta i Palm.
Przyjmuje obstalunki na roboty ze świeżych kwiatów. **Ceny nizkie.**

Ważne dla Pań!

Kuchenki naftowo-gazowe „Primus"

znalazły obszerne zastosowanie w gospodarstwie domowem, służą bowiem do gotowania i do nagrzewania *żelazek do prasowania.* „Primus" z przyrządem do prasowania nadaje się szczególniej dla pracowni sukien. Nafty zużywa za 1 kop. na godzinę.

Sprzedaż u **Ed. Dusoge**

Nowy Świat 5.

CENNIKI GRATIS. 211

Dozw. przez Urz. lek. za N. 337 na ogól. zas. handl.



PUDER IRIS
nieszkodliwy,
dostać można w składach aptecznych i perfumeryjnych, prawdziwy tylko w blaszanem opakowaniu z podpisem **H. Lachs.** Pudełko kop. 15. 30 i 50. **Główny Skład Solna № 9.** 190

PRACOWNIA SUKIEN
J. KACZYŃSKIEJ
Uczennicy Hersego.
Poleca się na Karnawał. Ceny bardzo przystępne. **Zgoda 5 m. 28.** 2004

Дозволено цензурою. Варшава, 31 Января 1899 г. Redaktor **Jan Skiwski.** **DODATEK.**

Wydawnictwo i Druk Warszawskiego Towarzystwa Akcyjnego Artystyczno-Wydawniczego.